№ 11. Warszawa, 18 Marca 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

UNIWERSYTET LATAJĄCY.

Ósme dziesięciolecie minionego wieku — to w życiu kobiet polskich ważna epoka — to chwile wielkiego ruchu umysłowego w *szerszych* masach kobiecych.

Do tej chwili tylko wyjątkowe zdolne, utalentowane, silne jednostki, przerastające głową swoją tłum kobiecy, łamiąc tysiące przeszkód i trudności zdobywały wiedzę — reszta poprzestawać musiała na nizkiem, powierzchownem wykształceniu szkolnem, często wprost z deski szkolnej śpiesząc do pracy zarobkowej. Największa liczba dziewcząt po zdobyciu patentu, cisnęła się do zajęć nauczycielskich, uważając je już to za stały zawód, już to za czasowe zarobkowe zajęcie. Ogół stawał w szeregach nauczycielskich, nie mając pojęcia o nauczaniu, pedagogice, nie umiejące nic, lub prawie nic, dziewczęta musiały uczyć zastępy młodszych o lat kilka dzieci... Tak kazała konieczność ekonomiczna, „tak było dotąd".

— — — — — — — — — — — — — —

Pokolenie, wchodzące w owej chwili na arenę życiową, wychowane było w czci wielkiej dla wiedzy. Naukowe ideały pozytywistów głośnym echem odbijały się w szerokich kołach młodzieży. Gdy rodzący się ruch społeczny porywał młodzież i w pogardę lub zapomnienie podawał polityczne zasady pozytywizmu — to cześć dla wiedzy, żądza zdobycia jej — nie traciły na sile, łączyła się ściśle z nowemi ideałami.

Młodzież szła w życie pod hasłem wiedzy i demokratyzmu. (prawdy i sprawiedliwości).

Współcześnie więc z ruchem społecznym rozwijał się wśród młodzieży ruch samokształcenia: zbierano się gromadkami, czytano książki i broszury społeczne, rozprawiano. Młodzież męska szczęśliwsza o tyle, że między latami szkolnemi z okresem zarobkowego życia, miała lata poświęcone zdobywaniu uniwersyteckiej wiedzy, Dzieliła się zdobyczami temi z upośledzonemi towarzyszkami — prowadziła wśród kółek kobiecych wykłady nauk społecznych i przyrodniczych. Marzeniem tej żądnej wiedzy młodzieży były uniwersytety, bibljoteki, pracownie zagraniczne.

— — — — — — — — — — — — — —

Wśród takiego kształcącego się wzajemnie kółka w 1882—1883 r. znalazła się młodziutka nauczycielka gimnazjum żeńskiego — Jadwiga Szczawińska. Żywa, zdolna, z gorącym sercem i duszą — czytała, uczyła się, dysputowała, lecz jednocześnie ukochane przez siebie idee szerzyć się starała wśród koleżanek i uczenic.

W ciągu dwóch lat najbliższe jej kółko rozproszyło się: jednych stosunki polityczne pchnęły na wschód, innej grupie „szczęśliwców" udało się wybiedz w szeroki świat „na zachód", po wiedzę. Panna Jadwiga nie wyjechała, wyjechać nie mogła, warunki materjalne wymagały ciężkiej bardzo pracy. Przeciwność ta niezłamała Jej. Pracę swą pedagogiczną: nauczycielki języka polskiego w rządowem gimnazjum uważała i pełniła jako służbę ideową, a obok tego na barki Jej spadła, zaprojektowana przez rozpraszające się grono, praca około tworzenia kółek samokształcenia. Na wzór owych pierwszych Kółek wykładowych, organizowała wśród dziewcząt coraz to nowe Kółka.

„Kółka" takie nie były u nas nowością, lecz Jadwiga Szczawińska Dawid potrafiła je spopularyzować, a następnie złączyć, zorganizować, stworzyć z nich całokształt, instytucję społeczną, nazwaną z czasem „Uniwersytetem latającym".

Instytucja powstała w 1885 r., rozwijała się szybko i wkrótce stała się jedną z największych tajnych organizacji kobiecych w Polsce (nie licząc stowarzyszeń religijnych). Cyfra słuchaczek podawana dziś przez dzienniki (200) nie odpowiada rzeczywistości. Pamiętam wielką radość naszą, gdy cyfra zapisów przeszła 1000 (licząc, że przeciętnie słuchaczki uczęszczały na dwa przedmioty, stanowi to realną cyfrę 500), — jedna zaś z koleżanek przypomina sobie, że

w czasie jej urzędowania cyfra zapisów przewyższała 1300 (t. j. 650 uczenic).

Czy była to już cyfra najwyższa, to dziś trudno dojść.*) Jaką była ogólna cyfra kształcących się też określić niepodobna, niewątpliwie było kilkanaście tysięcy. Najwyższy rozkwit instytucji przypadał na lata 1889—1890, ale Kursa przetrwały do epoki rewolucyjnej, w ostatnich latach straciwszy cechy instytucji społecznej. I śmiało twierdzić mogę. że prawie wszystkie kobiety danej epoki, — które w jakikolwiek sposób żywszy brały udział w życiu społecznem (literatki, nauczycielki, lekarki, aptekarki, działaczki społeczne i t. d.) pierwszą wiedzę czerpały na „Uniwersytecie latającym" (wiele z przygotowaniem takim wyjeżdżało dopiero na dalsze studja).

Słuchaczki wykładów rekrutowały się z różnych sfer, ale olbrzymią ich większość stanowiły dziewczęta niezamożne, rozpoczynające zarobkową pracę.

Dla tej kategorji kobiet niemożliwością był nietylko wyjazd zagranicę, ale nawet poświęcenie kilku godzin dziennie na kształcenie własne (bibljoteki w Warszawie otwarte tylko w rannych godzinach)—jedynie możliwą formą kształcenia się były wieczorne wykłady (porównaj do uniwersytetów extension w Anglji), przy czem uczestniczenie w wykładach dużej liczby uczenic czyniło je dostępnemi pod względem materjalnym.

Ogół słuchaczek, przepracowawszy ciężko dzień cały, biegł wieczorem na ten lub inny kraniec miasta „na wykład". Uniwersytet „latał", — ze względów bowiem bezpieczeństwa policyjnego zmieniano ciągle mieszkania, w jakich odbywały się wykłady.

Różnie też wyglądały te sale wykładowe: obok najczęściej spotykanych jadalni średniozamożnego mieszczaństwa, spotykało się wspaniałe salony burżuazji, ciasne pokoiki nauczycielskie, pracownie mód i t. p.

Wykłady prowadzone były przez najlepsze siły naukowe warszawskie, przeważnie z obozu postępowego.

W pierwszych latach istnienia instytucji grono profesorów łącznie z delagatkami, uczenic opracowało program nauk dzieląc je na dwa wydziały: humanistyczny i przyrodniczy, opracowało plany i wskazówki dla kształcących się w tych grupach. Przyznać trzeba, że planów tych mało się trzymano. Nie było jednak takiej gałęzi wiedzy, której na Uniwersytecie Latającym nie można by było studjować (najmniej uczęszczana była matematyka).

— — — — — — — — — — — — —

Wszak pamiętacie te piękne wykłady Dygasińskiego? Ile zapału dla pracy nauczycielskiej umiał wzbudzić, jak w naszych własnych oczach podniósł powagę obowiązków nauczycielskich, jak nauczył znajdować w nich piękno i radość.

Jak często dziś jeszcze pomagają nam w pracy wskazówki otrzymane na lekcjach pedagogiki, mniej barwnych, często nawet ciężkich i trudnych, ale poważnych, głębokich, zmuszających słuchaczki do pracy samodzielnej. A piękne wykłady psychologji, historji filozofji!

Pamiętacie ciemny, natłoczony wiecznie pokoik Chmielowskiego, tego nigdy niestrudzonego profesora, który z takiem umiłowaniem swego przedmiotu zapoznawał nas z arcydziełami literatury ojczystej? Cyfra jego słuchaczek wynosiła kilka tysięcy; wykładał — 15 lat, były lata, w których prowadził jednocześnie 8 kompletów składających się z 12 — 20 słuchaczek. (Kurs literatury był 3 letni). Wśród słuchaczek olbrzymią większość stanowiły wychowanki gimnazjum rządowego, dla których przedmioty t. zw. „polskie" obce były zupełnie. Na Uniwersytecie latającym poznawały dopiero literaturę polską, dzieje własnego narodu, tu wreszcie zapoznawały się naukowo z językiem ojczystym, z jego dziejami i prawami. Trudno sobie nawet wyobrazić, jak bez tych wykładów mogłyby wychowanki szkoły rosyjskiej prowadzić pracę pedagogiczną wśród dzieci polskich.

To też te wykłady „przedmiotów polskich" należały do najliczniej uczęszczanych. A nauczyciele traktowali tę sprawę, jako obowiązek społeczny (świadczyć może fakt, iż nauczyciel języka polskiego stale ze swej skromnej opłaty nauczycielskiej, — polecał kasjerce strącać kwotę wynoszącą opłatę jednej uczenicy, aby o jedną więcej uczyć się mogła).

*) Podawana przez Krzywickiego cyfra 1100 uczenic—wydaje mi się zbyt wysoką.

---

12) W. MAKOWSKI.

ZBRODNIE, KARY I SĄDY WYJĄTKOWE.

To samo będzie i przy innych cyfrowych stosunkach pewności, o ile tylko można będzie drogą usunięcia uczuciowego skrupułu stworzyć kompromis pewności i wątpienia. To samo będzie i przy innych wymiarach kary, oczywiście w mniej jaskrawym stopniu. Pod względem teoretyczno-psychologicznym będziemy mieli zatem oddziaływanie na siebie wzajem trzech stanów psychicznych, pod względem zaś praktyczno-życiowego efektu, będziemy mieli wtrącenie jeszcze jednej istoty człowieczej do „ogrodu udręczeń".

Najciekawszą wszakże w danym wypadku rzeczą pozostaje bodaj sprawa stosunku pomiędzy winą przez „prawdę sądową" ustaloną, a karą, w najszerszem znaczeniu tego pojęcia, z całym aparatem filozoficznych, kryminalistycznych i t. p. konstrukcji, które się o to pojęcie kary opierają. Stosunek zaiste dziwny i niepojęty.

Wypadek konkretny: *X* był jednym z przywódców ruchu rewolucyjnego, całą wszakże swoją działalność poświęcał temu, aby utrwalić w przekonaniu tych, na których mógł mieć wpływ, myśl o szkodliwości aktów terorystycznych, zabójstw i t. p. Znany rozłam w ruchu rewolucyjnym w Pols. Par. Soc. miał w nim gorącego rzecznika, stanął jaskrawo i wyraźnie po stronie wyrzekających się teroru. Przeciwko *X*-owi wszakże wdrożono śledztwo i pociągnięto go do odpowiedzialności właśnie za zabójstwo, czy to że imienia jego nadużyto, czy że oskarżono błędnie, dość że zarzut postawiony został w formie intelektualnego udziału w zabójstwie. Wątpliwości wyżej wskazane ogólnikowo, były, rzecz prosta, przedmiotem sądowego badania, wątpliwości nie mogły nie obniżyć stopnia przybliżenia—wynik: wyrok śmierci i usilne staranie tych samych ludzi, którzy wyrok ferowali, o złagodzenie kary, starania, które wbrew wszelkim oczekiwaniom, wbrew utartemu zwyczajowi, wbrew trzem trupom, których śmierć zarzucano obwinionemu,—zostały uwieńczone skutkiem o tyle, że *X*, traktowany wciąż jako ważny przestępca, będzie zamknięty w dożywotniej katordze.

A jednak w każdym wypadku takiego kompromisu, a wypadki takie zachodzą wciąż, powstaje dziwny zamęt. Nawet jeśli staniemy na punkcie widzenia celowości i skuteczności, sprawiedliwości i uzasadnienia etycznego kary, to i wówczas czem będzie jakikolwiek kompromis.

Wobec pojęcia winy, są ludzie winni i niewinni.

Czy pamiętacie pierwsze wykłady nauk społecznych? Same nazwy: „ekonomji", „socjologji" miały już pewien urok. Pamiętacie jak tłoczno było na tych wykładach (socjologji było stale kilka równoległych kółek), jakie ożywione toczyły się duskusje po skończonych wykładach, — jak często snuło się utopijne marzenie?

A lekcje botaniki, praca przy mikroskopach w gościnie u Dr. Bujwida, wycieczki botaniczne za miasto. — Pamiętacie tego profesora botaniki, serdecznego przyjaciela instytucji i uczenic, którego wielkiej dobroci pełna powaga jednała w naszych szeregach tyle uznania i zaufania, że do niego zwracano się zwykle w trudnych sytuacjach, gdy dobrą radą trzeba było uspakajać gorące młodzieńcze wybuchy?

A pamiętacie lekcje chemji, pracownię na poddaszu na Powiślu?

Pamiętacie, iż w owej dobie społecznikowsko-naukowej Jellenta wykładami swemi budził pierwsze entuzjazmy estetyczne?

I tylu innych wykładających, z których każdy dorzucał coś ze swej wiedzy.

Dziś rozproszone po szerokim świecie, dalekie od siebie przeżytemi latami, — wszystkie wdzięcznie wspominamy te młode, bujne życie koleżeńskie, te jasne chwile, w których danem nam było cieszyć myśl naszą.

— — — — — — — — — — — — —

Duszą całej instytucji była Jadwiga Szczawińska-Dawid, ona też na barkach swoich przez lat kilka dźwigała cały ciężar pracy. Ona ściągała ku sobie młode dziewczęta, zachęcała je do kształcenia się, dawała wzkazówki jak i czego się uczyć, ona przyjmowała zapisy, organizowała komplety, zapraszała nauczycieli, powoływała do życia coraz to nowe kółka, zwoływała zebrania, prowadziła je, inicjowała prawa, urządzenia, wreszcie kierowała zbiorowem życiem społecznem uczestniczek instytucji.

W pierwszych latach istnienia „Uniwersytetu" każda prawie z nas przechodziła przez „jej pokoik", pod jej opieką stawiała pierwsze kroki. Pamiętamy Ją wszystkie: młodą, śliczną, pełną uroku; z jasnemi oczyma, z promiennym uśmiechem, z gorącym słowem na ustach i serdecznym uściskiem ręki bratersko witającą każdą nowoprzybyłą. Nie pytała nikogo: kto zacz? kto ją przysyła? czy ma zdolności upoważniające ją do sięgania po wiedzę? czy ma środki na kształcenie? Nie było dla Niej chrześcjanek i żydówek, biednych i bogatych, nie było zwolenniczek tych lub innych przekonań politycznych, były dziewczęta, garnące się do wiedzy, którą trzeba im było dać.

W najgłębszych głębiach duszy musiała Pani Jadwiga czuć, że każde pragnienie wiedzy daje już do niej prawo, więc z niewypowiedzianie serdeczną prostotą tłomaczyła to nieśmiałym uczenicom.

Dziś jeszcze nie rozumiem, jak Pani Jadwiga dzieliła czas, ile Jej dzień miał godzin pracy, ale pamiętam, że zapracowana jako nauczycielka, zawsze jednak miała dość czasu dla tych, co po radę, pomoc do Niej się zwracali. Młode swe interesantki załatwiała nie formalnie z pośpiechem, „aby zbyć", lecz szczerze. serdecznie wchodząc często nawet w sprawy osobistego życia koleżanek, śpiesząc im zawsze nietylko z radą ale i z *czynną* pomocą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nie wiem, jakie były cele i zamierzenia tych, co wspólnie z Jadwigą Szczawińską pierwsze projekty organizacji snuli — ale wiem, co Pani Jadwiga z niej zrobiła. Była to nietylko wielka uczelnia, lecz jednocześnie wielka szkoła społecznego życia. Znaczenia tego nabrała dzięki ścisłej organizacji, a zawdzięczała to wyjątkowym wprost w tym kierunku zdolnościom--swej kierowniczki.

Słów kilka o tej organizacji. Każda słuchaczka była tem samem członkiem organizacji, na rzecz której wnosiła do wspólnej kasy 1 rb. wpisowego rocznie. Opłata za wykłady normalnie była w stosunku 1 rb. miesięcznie za 1 godz. tygodniowo, kto nie mógł tej sumy wnosić, płacił mniej, lub nie płacił nic; (niekiedy liczba bezpłatnych słuchaczek dochodziła do 50%— a przypuszczam, że stale stanowiła $^1/_4$ ogółu słuchaczek).

Każde kółko wybierało sobie kasjerkę, której obowiązkiem było porozumiewać się z profesorem, wyszukiwać lokalu, prowadzić kasę kółka; kasjerka była też pośredniczką między kółkiem a Zarządem, któremu rachunki przedstawiała co miesiąc. O ile

---

Winni mogą z jakichkolwiek względów osobistych czy innych zasługiwać na to, aby ogólnie wysoki wymiar kary został zindywidualizowany dla nich przez złagodzenie; ale taki stan, gdzie łagodzącą okolicznością dla oskarżonego jest wątpliwość winy, staje się już zupełną anormalnością, czemś co się nie daje wytłómaczyć logicznie, co jednak jest i jak mi się zdaje, będzie, gdyż wypływa z koniecznością z przystosowywania do życia schematu kary.

To, cośmy wyżej mówili o sądzie, ta jego rola, zadanie społeczne, charakter i istota kary, to są wszystko czynniki, które niewątpliwie wpływają na działalność psychiczną człowieka wyrok ferującego.

Ale jeżeli z tego wszystkiego będziemy sobie zdawali sprawę, to jakie miejsce wyznaczymy pojęciu prawdy sądowej; i czy zdając sobie sprawę z takiego stanu rzeczy, z konieczności takiego, my, jako społeczeństwo, możemy mieć pewność, że kara jest skutkiem zbrodni; czy kara wobec tego może dla członków społeczeństwa (a każdy członek społeczeństwa jest ewentualnym zbrodniarzem) mieć znaczenie tego powstrzymującego lub odstraszającego czynnika. Znowu wejdzie w grę rachunek prawdopodobieństwa i statystykę zbrodni, którą zwykle utożsamiamy ze statystyką kar, należy raz nazawsze oddzielić; nie są to rzeczy od siebie wzajem zależne, są to rzeczy równorzędne i odrębne, i jedną i drugą można traktować jako obliczenie pewnej kategorji nieszczęśliwych wypadków. A więc w ciągu roku 190... zginęło od pioruna osób—n, zginęło od zbrodniczych napadów osób—n', brało udział w czynach zbrodniczych osób mniej więcej—n'', zginęło od wyroków sądowych, czy zostało dotkniętych wyrokami sądowemi osób—n''', przyczyn pomiędzy n'' i n''' przyczynowej zależności żadną miarą ustalać nie sposób. Taką zależność, prócz doskonałej sprawności śledczej mogłaby tylko ustalać „prawda" sądowa, a ta, jakeśmy widzieli, obowiązku swego bynajmniej nie spełnia.

Możnaby wnioskowi memu zarzucić to, że postawił on zbyt wielkie wymagania potępionej „prawdzie", która wszak, jak wszystko na ziemi, może i ma prawo być względną i że fakt takiej rozbieżności pomiędzy krzywą statystyczną zbrodni i kary nie został dowodami umotywowany.

Zarzuty te wszakże nie mają znaczenia istotnego. Na pewien stopień przybliżenia zgodziliśmy się wyżej, a zresztą nawet najgorliwsi zwolennicy zbawienności kar sami przyznają, że zbawienności tej warunkiem musi być niezawodność i sprawiedliwość, a zatem przedewszystkiem to, cośmy nazwali prawdą sądową.

Co się zaś tyczy rozbieżności krzywych i stosunku wyroków kompromisowych do ilości wyroków wogóle, to tutaj rzeczywiście nie mógłbym poprzeć swego zdania argumentem liczbowym, podstawą na której mogę i muszę operować w tym wypadku jest nie tyle

kółko było nieliczne, i opłaty uczenic nie pokrywały kosztów wykładu, niedobór dopłacano z kasy ogólnej, dokąd wpływały wpisy, nadwyżki z kółek dobrze materjalnie stojących, nadto fundusze zdobyte drogą odczytów, koncertów i t. d.

Ta wspólna kasa stowarzyszenia, zawiadywana przez Zarząd, kontrolowane przez miesięczne zebrania kasjerek, i ogólne zebranie roczne delegatek kółkowych (na zebraniu ogólnem przedstawiono roczne sprawozdanie, dokonywano wyborów do Zarządu), te zebrania kółkowe (sejmiki prowincjonalne), wiązały nas ze sobą silniej, miało się zawsze poczucie koleżeńskiej wspólności. Udział zaś w ogólnem życiu publicznem, jaki przez delegatki stowarzyszenie zawsze brało, wśród mniej śmiałych kobiet budziło poczucie praw do udziału w społecznem życiu, wszystkie zaś przygotowywało do życia szerszego, wyrabiało poczucie obowiązków społecznych.

Po za tem cały szereg słuchaczek p. Jadwiga wciągała do udziału w pracach oświatowych, a z biegiem lat grupy zżytych w koleżeńskiem życiu jednostek łączyły się i wiązały w kółka dla podjęcia różnych społecznych zadań i owo współ-życie w „Uniwersytecie latającym" stało się punktem wyjścia całego szeregu mniej lub więcej licznych stowarzyszeń kobiecych.

Jak ogół natur energicznych, czynnych. Pani Jadwiga rządziła bezwzględnie samodzielnie, stworzoną przez siebie instytucją. Po upływie kilku lat między nią, a innemi członkami Zarządu powstała różnica zdań, co do sposobu gromadzenia funduszów. Pani Dawidowa uważała za słuszne zwracanie się do ofiarności publicznej o popieranie materjalne organizacji, ułatwiającej naukę niezamożnym dwiewczętom, w samem kształceniu ich widząc sprawę społeczną— inni członkowie Zarządu, (wychowane w znacznej części przez panią Dawidową—w demokratycznych ideałach) poczytywali tylko lud za uprawniony do korzystania z ofiarności publicznej. Na tle tej różnicy „zasad" powstał w łonie Zarządu spór. Głowy były młode, temperamenty gorące, natury energiczne — sprawa zaostrzała się. Nastąpił rozłam.

Rozłam wpłynął na losy Uniwersytetu latającego. Z ubytkiem p. Dawidowej zbrakło mu łącznika duchowego. Rozwijał się jeszcze liczebnie, ale przestał być spójnią, ogniskiem szerszego życia młodzieży żeńskiej w Warszawie.

Dziś gdy z odległości czasu patrzę na nasz stosunek do tej towarzyszki-kierowniczki—wypadki realne wydają mi się błahe, drobne.

Gdy patrzę w przeszłość widzę nietylko ważnośó i wielkość dokonanej przez Nią pracy, ale widzę tę siłę ducha, która Ją przez wszystkie dnie życia parła naprzód po drodze ciężkiej, często męczeńskiej; widzę tę czynną wiarę w przyszłość, która wydaje mi się największą siłą twórczą—bo dusze ludzkie stwarza i budzi. Jadwiga Szczawińska stoi przed naszemi oczyma jasna swojem wielkiem ukochaniem idei, wierna jej służbą i ofiarnością życia całego.

St. Sempołowska.

BŁĘDY LUDZI NIEPODLEGŁYCH.

II.

P. Lambro walczy z cieniem doktryny. W tym wypadku jego krytyka jest dopełnieniem krytyki p. Niemojewskiego, który walczy ponadto z cieniami ludzi. Nie idzie jednak o to czy p. Krzywicki jest cieniem Bernsteina czy Vollmara. Mówiąc nawiasem jest to odwieczna metoda przeciwstawiania ojczystym działaczom — działaczów obcych. Dla antysocjalisty francuskiego Bebel jest wzorem doskonałości, wobec którego Jaurès jest tylko nikłym cieniem — i odwrotnie. Zbyteczne chyba dowodzić, że p. Niemojewski syzyfową spełnia pracę, walcząc z cieniami. Jest to mozolna a niewdzięczna robota. Zdaje mu się, że natchnie myślą niepodległą ludzi realnych, a w rezultacie okazuje się, że oddziaływał jedynie na ruchliwe cienie, które gwałtownie uciekają przed nim, pozostawiając go w zdumionej pozycji przed murem zimnym i milczącym. Co gorsze i tragiczniejsze, że i p. Niemojewski walczy z cieniem doktryny, przez siebie stworzonej. Jego artykuły krytyczne, podyktowane zamiarem rozbicia zastygłych

---

rachunek co psychologja. Rachunek mógłby co najwyżej dać liczbę wyroków, w których zastosowano t. zw. okoliczności łagodzące, sądy wyjątkowe nie poto zresztą są powołane aby owe okoliczności łagodzące stosować, rzadko bardzo uciekały się do nich, o ile uciekały się, to motywów nie zawsze można dociec, gdyż pozostały one w formalnem znaczeniu wyrazu tajemnicą, czemś co na razie niebyło ujawnione a potem zostało zapomniane. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że stosunek wykonywanych wyroków śmierci do wydanych odpowiada mniej więcej 30%, to gdybyśmy śród pozostałych 60% znaleźli już na zasadzie obserwacji poza statystycznych czwartą część tylko wypadków kompromisu na tle wątpliwości mielibyśmy 15% wypadków, w których prawda sądowa jest fikcją zupełną. Ale przedewszystkiem wypadków takich jest w rzeczywistości znacznie więcej, po drugie i pozostała ilość wyroków jest jak wiemy tylko przybliżona do prawdy. A więc wnioski moje nie są pośpieszne.

Nie mogę w tej chwili mieć w rozporządzeniu odpowiednich dokumentów ze spraw sądowych, któremi bym udowodnił twierdzenie powyższe, wyprowadzone ono zostało z obserwacji osobistej nad materjałem źródłowym. Zresztą bez względu na obliczenie z punktu widzenia analizy psychologicznej, na zasadzie znowu czynionych doświadczeń mam prawo do powyższego wniosku dojść. Wynik tej analizy, to jest przypuszczalne wahania świadomości przed tem niż powziętą została decyzja, starałem się wyżej unaocznić, jako je uzupełnienie będę musiał jeszcze dodać może niektóre obserwacje co do sposobu w jaki tworzą się w świadomości sędziego takie czy inne wnioski i przekonania co do winy lub niewinności.

Doświadczenia psychologiczne czynione nad pamięcią ludzką, doświadczenia pozostające praktycznie w związku z kwestją świadków dochodziły do ustalenia rozmaitych typów wyobraźni Każdy niemal ze świadków posiada inny rodzaj wyobraźni, bardziej się skupia na rzeczach głównych lub rozprasza na szczegóły, tracąc zupełnie z widoku rzeczy najważniejsze. Ten sam fakt będzie odtworzony w sposób zupełnie odmienny przez ludzi o rozmaitym typie wyobraźni, porządek, następstwo wypadków, udział poszczególnych osób, to wszystko będzie się zmieniało zależnie od typu danej umysłowości i w podobny sposób będzie się zmieniała kategoryczność lub chwiejność opowieści, zależnie od charakteru umysłu bardziej skłonnego no wnioskowania, czy też analizy.

(d. c. n.).

dogmatów i przeciwstawienia im wyższej myśli twórczej, są jedynie niewyraźnemi i zmąconemi wspomnieniami z dziedziny filozofji i ekonomji Marxa. Hipotezę naukową rozwoju, opartą na badaniach ustroju nowożytnego, p. Niemojewski przeobraża w pewnik, który winien już być potwierdzony conajmniej przewrotem społecznym. Powiada nam, że „rozmaite kapitały wcale nie chciały się połączyć w kapitał jeden, a nawet srogie ze sobą staczały boje. A i proletarjat nie mógł się połączyć w jakiś jeden, obejmujący glob cały proletarjat. Kulturę dalej dzierżyła w swem ręku klasa mieszczańska a na ukształtowanie się form życia mieli znacznie większy wpływ genjalni inżynierowie, niż idee Marxa." [1]) Nasi krytycy mówią o ewolucji kapitału, jakgdyby należała już do przeszłości, o podstawach bytu społeczeństw nowoczesnych rozprawiają conajmniej jak o niewolnictwie rzymskiem. Z tego wynika, że kłamliwym proroctwom, zdrodzonym w ogromnej głowie „pół-boga, pół-człowieka" ziścić się nie było pisane, albowiem era burżuazyjna przeszła w to stadjum ewolucji, w którem „kapitały" nie chcą już pod żadnym pozorem „łączyć się w kapitał jeden."

P. Niemojewski, który często mówi o sztuce organicznego myślenia, zbyt nieopatrznie mechanizuje zjawiska różnorodne i zapomina, że formacje ekonomiczne również rozpatrywać należy w biegu ich rozwoju, w czasie ich powstawania, rozkwitu i zaniku. Gdyby p. Niemojewski i p. Lambro uczynili zadość temu warunkowi „niemechanicznego" myślenia, nie oparliby swego rozumowania na fałszywych założeniach i nie doszliby do wniosków paradoksalnych, rażąco mijających się z rzeczywistością. Postulat zespolenia kapitałów, w warunkach, kiedy nie nastąpił jeszcze kres ewolucji ustroju teraźniejszego, stopniowo tylko czerpać może realne potwierdzenia w dziedzinie rozwoju ekonomicznego. Tych dowodów niezbitych należy szukać w materjale statystycznym, ilustrującym oddzielne okresy rozwoju przemysłowego w krajach najbardziej skapitalizowanych. W myśl zarzutów p. Niemojewskiego należałoby dowieść, że kapitały „chcą" się łączyć w kapitał *jeden*.

Tego jednak podjąć się nie możemy, albowiem nasza metoda badania stosunków społeczno-ekonomicznych tak daleko nie sięga, t. j. nie sięga po za rzeczywistość. Musielibyśmy, wzorem p. Niemojewskiego, odwołać się do bezgranicznej wyobraźni, jako do bogatego źródła wszelkich dowodów, a więc i dowodów nieistniejących dla obalenia zarzutu, tyczącego się kapitału „*jednego*." Niestety, w danym przedmiocie badania wyrzec się musimy pomocy poetyckiej wyobraźni, jako chwilowo szkodliwej i bezwartościowej.

Najłatwiej jest skarykaturować rzeczy wyraźne, będące przedmiotem uwagi powszechnej. Osoby popularne zawdzięczają swoje fantastyczne kształty w pismach satyrycznych swoim cechom specjalnym, różniącym się w sposób rażący od cech pozostałych śmiertelników. Podobnie pewnie postulaty społeczno-ekonomiczne, uznawane przez określoną grupę ludzi, są dziś przedmiotem wyszydzania przez inne grupy, hołdujące odmiennym poglądom i dążeniom. Zarówno rysownik-karykaturzysta, jak i krytyk-karykaturzysta chwytają jedynie zewnętrzne cechy charakterystyczne, niepostrzegając właściwej istoty i treści. Różnica polega jedynie na tem, że rysownik, kreśląc wybujałe kształty przeciwnika—rozśmiesza czytającą publiczność, tymczasem krytyk mimowoli ośmiesza samego siebie w oczach tych ludzi, którzy w zagadnieniach naukowych nie szukają śmiesznostek. Mniej więcej da się to powiedzieć o p. Niemojewskim. Nic łatwiejszego jak z postulatu t. zw. koncentracji kapitałów uczynić potwora naukowego i przypisać go marxizmowi. Jeśli wnikniemy w formy karykaturalne tego postulatu, stworzone przez krytyka in titulo, ujrzymy obraz, który powstać nie może w głowie najciaśniejszego marxisty. Kapitał „jeden" oznacza takie formy struktury ekonomicznej, w których zniesione zostały wszelkie stopniowania, powstające w drodze rozwoju współczesnego, wszelkie tak zwane przeżytki dawnych formacji ekonomicznych, które po stu latach upadku tkwią dziś jeszcze w systemie wytwórczym, oznacza wreszcie zespolenie olbrzymich bogactw nowoczesnych w rękach kilku posiadaczy i wydziedziczenie całego prawie społeczeństwa. Wyolbrzymiając pewne zagadnienia, traci się sprawdziany rzeczywiste i źródła wartościowej argumentacji.

Nowożytne formacje przemysłowe—towarzystwa akcyjne, kartele, trusty, będące ostatnim wyrazem rozwoju ekonomicznego, są jednocześnie właściwym dowodem stopniowego zespalania się kapitałów. W tych instytucjach — przemysłowcy pozbawieni są roli indywidualnych wytwórców — natomiast kapitał przez nich wniesiony — posiada wyłączne i najgłówniejsze znaczenie.

Wzrost tych instytucji jest ilustracją zaniku oddzielnych przedsiębiorstw, a właściwie ilustracją stopniowego pochłaniania ich przez syndykaty wielkoprzemysłowe. W Anglji liczba towarzystw akcyjnych wynosiła:

w 1845 r.	— 57		
„ 1862 r.	— 1815		
„ 1888 r.	— 11001	z kapitałem akc.	600 mil. f. st.
„ 1896 r.	— 21233	z kapitałem	„ 1150 „ f. st.
„ 1904 r.	— 37287	z kapitałem	„ 1899 „ f. st.

Widzimy więc, że kapitały, które niegdyś „srogie ze sobą staczały boje" na oddzielnych polach wytwórczości wielkoprzemysłowej — pogodziły się już dawno i dziś na miljardach wspólnego złota święcą trwałe przymierze. Podobnie w Niemczech kapitał przemysłowy zrozumiał widocznie bezcelowość współzawodnictwa w pokrewnych dziedzinach wytwórczości, gdyż w 1904 r. liczono już 4740 towarzystw akcyjnych z kapitałem 11651 milionów marek i 385 karteli, obejmujących 12000 największych przedsiębiorstw w państwie—w przemyśle górniczo-hutniczym, maszynowym, ceramicznym, chemicznym i innym. [2]) Jeśli chodzi o stopień zespolenia kapitałów w naszych towarzystwach akcyjnych—wystarczy przytoczyć dane z 1897, zebrane przez St. Koszutskiego dla Król. Pol., a tyczące się przemysłu fabrycznego i górniczego.

	Liczba przedsiębiorstw	Wartość produkcji w 1000 rb.	Liczba robotników
Towarzystw akc.—	157	251228	134122
Ogółem	2233	451000	264893 [3])

Bardziej wyraźną ilustracją tego zespolenia jest stalowy trust amerykański (Unitet States Steel Corporation), założony na początku bieżącego stulecia. Trust ten dostarcza na rynki amerykańskie przeszło 60% *ogólnej* wartości rudy i półfabrykatów żelaza. W 1904 roku nominalny kapitał tego syndykatu wynosił 1445 milionów dolarów, zaś liczba robotników i urzędników, będących na jego usługach wynosiła 147 tysięcy. Pięciu ludzi rządzi tym olbrzymim aparatem gospodarczym: Rockefeller, Morgan, Vanderbildt, Gould i Harriman. Do nich należy większa część kopalni węgla w Stanach Zjednoczonych, oraz wszystkie linje kolejowe, do tych kopalni prowadzące, dzięki czemu panują i nad kopalniami, do nich *nie*-należącemi.

Od nich małe fabryki żelaza zmuszone są brać materjał surowy.

---

[1]) № 123 „Myśli Niepodległej" str. 99.

[2]) Dr. Helena Landau. Zarys ekonomji społecznej.

[3]) St. Koszutski. Nasz wielki przemysł na początku XX st.

Do nich należy sieć wielkich kolei, łączących wszystkie wielkie porty Oceanu Atlantyckiego i Zatoki Meksykańskiej z portami Oceanu Spokojnego. Oni są właścicielami wielkiej floty parowców oceanicznych. Oni zmonopolizowali amerykańską produkcję nafty. Do nich należy większa część kopalni złota, srebra, miedzi, ołowiu w Stanach Zjednoczonych, jako też oświetlenie i tramwaje wielu miast. [4])

Nie miejsce tu na wyczerpujące omówienie postulatu zespolenia kapitałów. Pozostawiamy również na uboczu kwestję rolną, którą należałoby ująć w ramy obszerne ze względu na jej znaczenie wielce sporne. Szło nam jedynie o podkreślenie istniejącej tendencji rozwojowej i o zaznaczenie, że o ewolucji kapitału wielkiego nie można dziś mówić jako o systemie wytwórczości, który spełnił już swą rolę rozwojową i przeszedł do przeszłości. Zespolenie kapitałów postępuje naprzód i staje się najbardziej wyraźnem w najgłówniejszych dziedzinach produkcji. O jakimś wielkim kapitale, obejmującym całe gospodarstwo społeczne nie może być mowy w erze panowania mieszczaństwa, gdyż w takim razie cały byt narodów zależałby od woli kilku jednostek. Powyższe skromne dane liczbowe świadczą, że jakkolwiek kapitały nie „chciały” się łączyć — łączą się jednak ostatecznie. O słuszności hipotezy naukowej świadczą dotychczas fakty, czerpane z rzeczywistości i dlatego nie mamy prawa jej negować w przedmiotowych badaniach stosunków współczesnych.

Nie mamy się też powodu dziwić, że „kulturę dzierżyła dalej klasa mieszczańska.” Jest to w porządku rzeczy jeśli panująca warstwa społeczna w ustroju, będącym jej punktem wyjścia, gwoli zachowania swojej potęgi rozporządza wszelkiemi instytucjami, umie wyciągnąć korzyść z współczesnego rozwoju umiejętności, wynalazków, umie utrzymać swoją wpływową ideologję, ujarzmić literaturę, sztukę, prasę. Twierdząc zaś, że na kształtowanie form życia mają znacznie większy wpływ genjalni inżynierowie, niż idee Marxa, p. Niemojewski przestaje być mężem „niepodległym”, gdyż popada bezwiednie w sieci filozoficzne niemieckiego myśliciela. W tem miejscu p. Niemojewski przerywa swoje metafizyczne rozumowanie, schodzi na grunt wielce realny i prozaiczny i spotyka się ku swojemu zdumieniu z starą szkołą zawodowych komentatorów marxizmu.

Genjalny inżynier wywołuje przewrót w technice, tworzy nowe podstawy dla ruchu ekonomicznego, które większą spełniają rolę w rozwoju kultury, aniżeli idee. Genjalni inżynierowie i miljony niegenjalnych wytwórców, z mozołem wykuwających ze stali i żelaza swój byt codzienny, budują jednocześnie podstawy materjalne, które tworzą epokę. Ich czynności czysto ekonomiczne, zdobycze ich wysiłków indywidualnych,—drobne, mgławicowe—wzięte oddzielnie są pozbawione znaczenia i roli powszechnej,—wzięte zaś razem, zsumowane przez nieustanną pracę we wszystkich dziedzinach całego społeczeństwa—tworzą dzieje.

Nowy wynalazek, sprowadzający przewroty w technice jest ostatnim wyrazem kultury ekonomicznej. Będąc zastosowany, sprowadza nowe zmiany, które z kolei tworzą inne podstawy dla dalszych przeobrażeń, doskonaleń, wynalazków. Zdumiewające współczesne odkrycia naukowe były możliwe właśnie w dobie kapitału, opartym na stali i żelazie i poruszanym siłą pary i elektryczności. Ukryta zależność rozwoju kultury od ciągle rosnących zdobyczy materjalnych—pozostaje niepostrzeżona i nieuchwytna w mnóstwie najróżnorodniejszych zjawisk codziennych, zachodzących we wszystkich sferach pulsującego życia społeczeństw. Nie idzie tu o bezpośrednie i momentalne wyrazy tej zależności. Zależność ta ukazuje się nam w całej jaskrawości u schyłku oddzielnych epok rozwoju ludzkości, na przestrzeni wieków, kiedy dany ustrój, będący punktem wyjścia dla jednej grupy społecznej, po okresach rozwoju, rozkwitu i przeżycia, upada, ustępując miejsca nowym formacjom materjalnym i nowym strukturom społecznym. Badając rozwój historyczny narodów, poznając dorobek kulturalny odmiennych epok, śledząc ewolucję myśli dziejowej—zaiste widzimy, że sztuka techniczna na kształtowanie form życia miała większy wpływ,, niż idee. Tu p. Niemojewski mimowoli wypowiedział prawdę filozoficzną, jedną z największych, którą dziś można zapożyczyć od Marxa, nie narażając się na epitet umysłu skostniałego w dogmatach i nie będąc przez to mniej oświeconym i wolnomyślnym.... Tak mszczą się cienie doktryny. *Henryk Lukrec*

[4]) „The People”, cytowane według Kantsky'ego. Zasady socjalizmu

---

ECHA.

SIELANKA NA ŁONIE CZYSTEJ WIEDZY.

Grono osób, znanych zaszczytnie ze swej działalności na polu pracy pedagogicznej, projektuje założenie szkoły żeńskiej z programem gimnazjum męskiego. Myśl dobra i zasługująca niewątpliwie na poparcie..

Na zebraniu, które odbyło się 9-go b. m., wyłoniły się dwa rozbieżne poglądy na przeznaczenie tej szkoły. „Jedna grupa przemawiających dowodziła, że projektowana szkoła powinna być przedewszystkiem wzorową szkołą średnią dla dziewcząt; inni natomiast byli zdania, że szkoła ta na pierwszym planie winna mieć za zadanie przygotowanie dziewcząt do nauki uniwersyteckiej“. (Nowa Gazeta № 112). Natomiast wszyscy zgromadzeni zgodzili się na proponowaną w kosztorysie czesne, które ma wynosić 200 rbl. rocznie, przyczem 10 procent uczennic ma być zwalnianych od opłaty. W dalszym ciągu zgodzano się na to, że przyszła szkoła ma nosić charakter „zupełnie demokratyczny”.

Cóż za zdumiewający brak konsekwencji! Demokratyczna szkoła dla najbogatszej warstwy mieszkańców Warszawy. Bo nie tylko ludzie ubodzy, ale nawet średnio zamożna inteligencja nie może marzyć o oddaniu dzieci do szkoły, w której wpis kosztuje 200 rbl. rocznie. Najdroższe czesne w istniejących szkołach wynosi do 150 rbl. rocznie. A co znaczy różnica 50 rubli rocznie dla rodziny średnio zamożnej, to wie każdy wybornie.

Szkoła ta ma przygotowywać dziewczęta do uniwersytetu. Ależ dla tych, które do tej szkoły będą uczęszczać, jest chodzenie na uniwersytet wielkopańską fantazją lub nieszkodliwą zabawką. Cóż może obchodzić społeczeństwo polskie fakt, że kilkaset panien z najzamożniejszych domów będzie miało ułatwiony wstęp na uniwersytet? Posagi utorują im i bez wyższego wykształcenia najwygodniejszą drogę w życiu.

10 procent uczennic będzie uwolnionych od wpisu. Czyli, innemi słowy: 270 panien bogatych umożliwi wyższe wykształcenie 27-iu nędzarkom. Cóż za wzruszający objaw filantropji! co za karygodne nieporozumienie w ujmowaniu zadań społecznych! Rozkoszna sielanka najbogatszych i najbiedniejszych na łonie czystej wiedzy.

Ale nie łudźmy się. To nie jest nawet filantropja. Poprostu chęć zjednania sobie sympatji ogółu, który zawsze daje się brać tak chętnie na lep papierków, posmarowanych miodem miłości bliźniego.

Jedno z dwojga. Albo jest tu dążenie sfery bogatej do stworzenia pewnej wyłączności szkolnej, w takim razie społeczeństwo powinno odmówić wszelkich ofiar. Albo inicjatorowie mają na celu eksperyment pedagogiczny — a w tym razie należy sprawę zgoła inaczej pokierować. *Mm.*

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

Kryzys w Hiszpanji. Nowy prezes ministrów, p. Canalejas, którego położenie jest jak dotąd dość utrudnione z powodu specyficznych warunków panujących w Hiszpanji, ogłosił niedawno swój program. Program to olbrzymi, porusza on wszystkie najistotniejsze braki życia polityczno-społecznego Hiszpanji.

Na pierwszy plan wysuwa się oczywiście kwestja stosunku do kościoła. Zachłanna i reakcyjna gospodarka kleru, opłakane skutki jej dla oświaty i życia wewnętrznego kraju, skonsolidowały bardzo silną opinję antyklerykalną, której wyrazicielem jest również p. Canalejas.

Jako mąż stanu, deputowany i minister robił on od szeregu lat próby w kierunku ukrócenia wszechwładzy kleru. Żąda on obecnie (jak i w 1902 r., kiedy był ministrem) określenia prawnego stanowiska jakie zajmują zakony i reformy w budżecie ministerjum wyznań. Jest to jak widzimy stanowisko bardzo oględne i bynajmniej nie rewolucyjne, które jednak wywołało gorące protesty ze strony władz kościelnych.

Co do kwestji społecznej, to w rozmowie z korespondentem l'Humanité, p. Canalejas zdeklarował się jako zdecydowany demokrata, uznający pożytek który płynie z działalności socjalistycznej. „Socjalizm, według mnie, mówi p. Canalejas jest nietylko doktryną, systemem, metodą. Jest on tem wszystkiem czemś więcej, jest to cywilizacja".

I oto nieskończenie długi program reform społecznych. Popieranie Towarzystw Robotniczych przez zaprowadzenie prawa o syndykatach i przez inne reformy, zmierzające do stworzenia obowiązkowych sądów rzemieślniczych... Uregulowanie prawne umowy o pracę za pomocą zasadniczego prawa, do którego zostaną włączone inne prawa już istniejące, jako to prawo o pracy kobiet i dzieci, o wypadkach etc. Uregulowanie dnia roboczego, dla zapobieżenia przepracowania i obrony życia robotnika. Zabezpieczenie stosowania prawa o odpoczynku tygodniowym. Organizacja ubezpieczenia obowiązkowego i ubezpieczenia na starość, popieranie kooperatyw robotniczych. Reforma podatków ciążących na klasie robotniczej, a zwłaszcza podatków na produkty spożywcze. Walka z alkoholizmem, podniesienie oświaty ludowej, powiększenie ilości biur pośrednictwa pracy, stworzenie Gield pracy, popieranie drobnej własności rolnej.

Oprócz tego p. Canalejas zapowiada wprowadzenie powszechnej służby wojskowej i zniesienie nadużyć, które wywołały ogólne oburzenie podczas ostatniej wojny.

W zakresie konstytucyjnym żąda rozwiązania obecnej Izby i zwołania nowej wybranej pod hasłem powyższego programu.

Swój program kończy p. Canalejas ogłoszeniem powszechnej amnestji, a następnie zniesieniem kary śmierci.

Taki jest ten wspaniały program nowego ministerjum. Nie ulega wątpliwości, że, wprowadzony w życie, wywarłby on wpływ dodatni na odnowienie polityczne i społeczne Hiszpanji.

Niestety warunki życia politycznego w tym kraju z łatwością mogą udaremnić tę politykę, której szczerości nie chcę tu kwestjonować. Przy nizkiem uświadomieniu mas ludowych i słabej organizacji, wpływ ich na politykę jest jak dotąd nader niestały. Sprzedajność sfer politycznych stwarza stosunki chwiejne i naprężone i ministerjum posiadające dziś autorytet dostateczny i siłę, jutro może być obalonem.

Ta jednak część programu p. Canalejasa, która tyczy się reform społecznych i organizacji robotniczych — wskazuje, że umysły przodujące liberalizmu hiszpańskiego ujrzały istotną przyczynę upadku swego kraju. Program ten jest z ich strony przyznaniem się do bankructwa i schyleniem czoła przed nową potęgą, przed organizacją mas robotniczych, która jedynie może położyć koniec rozprzężeniu panującemu w tym kraju.

Senat francuski i tajne głosowanie. Niedawno jeden z wybitnych mężów stanu w Anglji oświadczył w rozmowie z przedstawicielem jednego z pism francuskich, że Senat francuski jest instytucją o wiele korserwatywniejszą od Izby lordów. Gdybyśmy przejrzeli historję całego szeregu reform proponowanych przez parlament i kwestjonowanych, odrzucanych lub przetrzymywanych lata całe przez Senat, to zdanie to wydałoby się nam niezmiernie trafnem.

Potwierdzenie tego, aż nazbyt smutne, dał Senat francuski przy przyjęciu wniosku w sprawie tajnego głosowania.

System parlamentarny we Francji przeżywa obecnie bardzo ciężki, przez nikogo nie kwestjonowany kryzys. Przyczyny tego kryzysu tkwią głęboko w stosunkach społecznych, w rozwoju i organizacji sił politycznych i w niedających się pogodzić sprzecznościach, do jakich rozwój kapitalizmu, zwłaszcza na gruncie francuskim doprowadził. Są to sprawy nad wyraz drażliwe i trudne, dla których, nie wiem czy wystarczającem remedjum będzie reforma systemu wyborczego, o którą gorliwie walczą ci wszyscy, którzy stosunki parlamentarne chcą uzdrowić.

Dla uzdrowienia tych stosunków, dla usunięcia gorszących scen przekupstwa podczas wyborów, a demoralizujących zarzutów po wyborach, niezbędnem jest zapewnienie wyborcom zupełnej tajności głosowania. W tym celu proponowane są trzy środki: po pierwsze, wyborca kartkę z nazwiskami umieszcza w kopercie nieprzezroczystej, po drugie, czynności wyborcze spełnia w osobnym pokoju, by nie podlegać obcej kontroli, i po trzecie, przy składaniu głosów asystują obowiązkowo przedstawiciele wszystkich partji w celu kontroli i usunięcia możliwych nadużyć.

Senat przyjął tylko pierwszy warunek: podawanie głosów w kopertach, dwa inne, głosowanie w oddzielnym pokoju i obowiązkową kontrolę przedstawicieli partji odrzucił. Tak zredukowana reforma nie dając żadnych gwarancji, stwarza jedynie nową trudność dla wyborców.

Postępowanie senatu nie może być niczem usprawiedliwione. Żaden głos poważniejszy nie odezwał się przeciw tej reformie, a argumenty jej przeciwników w Senacie są wprost niepoważne. Wytłomaczeniem tego postępku może być jedynie tradycyjny konserwatyzm tego zgromadzenia i charakter wysoce reakcyjny i szkodliwy Izby wyższej we Francji. Jest ona w wielu podobnych wypadkach sojuszniczką niemą radykałów francuskich, którzy czyniąc pozornie daleko idące koncesje na rzecz reform społecznych, mogą zawsze liczyć na to, że z pomocą Senatu nie będzie ich to długo do niczego zobowiązywać.

Sprawa Hervé'go. Hervé został skazany na 4 lata więzienia. Jakkolwiek pozornie sprawa ta wybiega po za sferę polityki, w istocie rzuca ona tak ciekawe światło na mieszczaństwo francuskie, a poczęści i na radykałów, będących obecnie u władzy, że nabiera znaczenia pierwszorzędnego. Postać Hervégo i opinje jego znane są zarówno we Francji, jak i po za jej granicami. Ten czerwony antypatrjota i antymilitarysta, jest gruntownie znienawidzony przez burżuazję całego świata i skutecznie wysuwany za każdym razem, gdy trzeba insynować socjalistom

zbrodnie okropne przeciw ojczyźnie i państwu. Ale jeżeli szukać poczniemy istotnej przyczyny tej nienawiści, to ujawni się, że źródłem tego szczerego uczucia jest sposób, w jaki Hervé szerzy swe przekonania.

Z zimną krwią, z pogardą dla wszelkiej obłudy, z morderczym sarkazmem szuka on tego co jest istotnem w formach i obyczajach współczesnego społeczeństwa. Przebiegle potrafi on zwęszyć na czem to się opierają te kamienie węgielne podstaw narodu. Demaskuje prawdziwy charakter ich patrjotyzmu i wskazuje gwałt i zgniliznę wszędzie gdzie ją znajdzie.

Jest on, powiedziałbym, chorym na nieuleczalny pesymizm, który go pcha do konsekwentnego sceptycyzmu. Tego to sceptyka, który nie uwierzy w żadne święte cnoty mieszczanina, nienawidzi tak z całego serca i solidarnie burżuazja.

Ale ci co go znają, nie zgadzając się z nim, umieją go cenić i szanować.

Obecnie zbliżają się wybory i nie trudno było odgadnąć, że jak zawsze, tak i teraz pociągną Hervé'go przed kratki sądowe.

Stało się to z przyzwolenia p. Briand'a, prezesa ministrów, dawnego antymilitarysty i socjalisty. A stało się to, jak następuje.

W swoim czasie niejaki Liabeuf, robotnik, został aresztowany przez agenta policji obyczajowej, pod pozorem, że zajmuje się stręczycielstwem. Pomimo całego szeregu dowodów na jego obronę, został skazany na więzienie.

Po powrocie z więzienia postanowił on zemścić się na swym prześladowcy. Rzeczywiście dokonał napadu, podczas którego jeden z agentów został zabity.

Z powodu tej sprawy Hervé postarał się o zebranie dostatecznych materjałów i napisał artykuł, w którym wskazywał na kolosalne nadużycia, popełniane przez obyczajową policję, na jej bezkarność, której ofiarą padały przeważnie córki i żony robotników, w konkluzji powiedział, że robotnicy winni w wypadkach gdy zagrożoną beznadziejnie jest cześć ich najbliższych, brać przykład z Liabeuf'a i oprzeć się tym nadużyciom.

Rząd wytoczył mu sprawę, oskarżając o podmawianie do zabójstwa agentów policyjnych.

Proces ten, zakończony potępieniem Harvé'go i skazaniem go za powyższy artykuł, był, jak to podkreśla cała uczciwa opinja, procesem przegranym policji. Był on czemś więcej — zadokumentowaniem zgnilizny moralnej i społecznej burżuazji francuskiej.

Hervé powołał trzy kategorje świadków: tych, którzy mieli złożyć świadectwo w sprawie powyższego Liabeuf'a. Następnie tych którzy by złożyli swe opinje co do policji obyczajowej i nareszcie tych, którzy byli pokrzywdzeni przez tę policję i policję wogóle.

Swiadectwa pierwszej grupy, a przedewszystkiem pracobiorców Liabeuf'a wykazały, że nietylko nie zajmował się on stręczycielstwem, ale dały dowód, że był robotnik uczciwy, spokojny i pracowity. Stwierdziły one, że sąd stronnie kierował się świadectwem agentów wbrew prawdzie...

Do drugiej grupy należało 20 osób, do trzeciej 40 osób w tej liczbie śmietanka umysłowości i życia politycznego Francji jak: Yves Guyot, Fiaux, Victor Margueritte, Paul Meunier, de Pressensé, Octave Mirbeau, Yvetot, Alpy, Rochefort, Sebastian Faure, Varenne, Sembat, Vaillant, Jaurés.

Swiadkowie ci stwierdzili nadużycia popełniane przez policję obyczajową i brak wszelkich środków obrony, wobec decydującego znaczenia, jakie posiadają zeznania agenta. Cytowano wypadki, gdzie żony dziennikarzy padały ofiarą tych nadużyć. Następnie wskazywano bezskuteczność tego sposobu walki z rozpustą, gdyż notoryczni handlarze żywym towarem znajdują się w konfidencji z agentami policji. Przypomniano nareszcie, że rada miejska Paryża wypowiedziała się za zniesieniem tej instytucji.

Między świadkami znajdował się Henri Rochefort, który był 22 razy skazany za przestępstwa prasowe, a w tem 2 razy na śmierć.

W toku rozpraw wyszła na jaw natura środków, któremi rząd zwalczać chce swobodną krytykę i świadomość polityczno-społeczną.

Pomimo tego, a może dzięki temu, dzięki klęsce moralnej jaką poniosła cnota rządowa, radykalna, (a tak wielbiona przez naszych swojskich radykałów) Hervé został skazany.

Phyrrusowe zwycięstwo odniósł p. Briand.

Właski.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Czesław Poznański. Rzeźba francuska XIX i XX w. Lwów 1909. Nakład H. Altenberga.

Praca p. Poznańskiego—to jedyna dotąd próba syntetycznego ujęcia stu lat ostatnich rzeźby francuskiej. Dzieło—oparte na studjach sumiennych, na dokumentach, zbieranych z nielada mozołem, bowiem materjał tych czasów jest jeszcze rozproszony i niedostatecznie opracowany, na źródłach wreszcie żywych, gdyż wypływających z obcowania z artystami, rozmowach z niemi, zasięganie od nich samych wiadomości tak co do strony technicznej, jak kierunków ich i celów. Stąd wynika, iż książka nietylko gruntownie opanowywa przedmiot i wyczerpuje go, lecz jeszcze sama życiem pulsuje—i to właśnie czyni ją niesłychanie ujmującą i piękną.

Podzielić ją można na dwie niejako części i opracowanie dziejów rzeźby mniej więcej do jakiegoś 80 roku, oparte przeważnie na materjale zebranym w bibljotekach, i część druga—to czasy późniejsze aż do najbardziej współczesnych, bowiem doprowadzone aż do wystawy w Salonie w 1908 r., tutaj autor mógł rozwinąć bardziej impresjonistyczne, osobiste wrażenia.

Nie mam bynajmniej zamiaru przechodzić z autorem kolejno życia wszystkich artystów, bowiem w sprawozdaniu byłoby to bezużytecznem obciążeniem umysłu czytelnika suchemi cytatami nazw. które w pobieżnem zestawieniu nic nie mówią. Sprobuję raczej w syntetycznem ujęciu dać całokształt rzeźby tych czasów, wyeliminować kilka wybitnych postaci, by na tem tle rozpoznać następnie stosunek autora do omawianego przedmiotu.

Różne bo są sposoby techniki i ujęcia w rzeźbie, lecz naprawdę, po wszystkie czasy dwa jedynie kierunki w historji jej wydzielić się dają: romantyzm i klasycyzm.

Romantyzm w rzeźbie szuka przedewszystkiem akcji i ruchu, kładzie nacisk na wyraz, uczucie, grę światła, związany z tem ściśle problemat ruchu i kolorowość, stan to jednem słowem dynamiczny; zaś klasycyzm—to harmonja i spokój, stan raczej statyczny, dążenie do wysokiej syntezy, sztuka „szukająca nie momentu, lecz wieczności", to staranie o zachowanie szlachetności rytmu, stylu i formy.

„A forma,—że zacytujemy słowa autora,—to nietylko linja, nietylko kompozycja i nietylko kolor, i nietylko bryła—to jest skoordynowanie wszystkich tych czynników i podporządkowanie ich twórczej, syntetycznej woli".

Czasem ów klasycyzm bywa powierzchowny i połowiczny, wówczas epoka wydaje pseudoklasycyzm

takiego Canowy lub Thorwaldsena, czasem znów romantyzm przechodzi w brutalny naturalizm, w fotograficzne ujęcie natury, niemniej—tu czy tam—dążenie do tych dwuch wytycznych zawsze się zaznaczy, bowiem są one wyrazem istotnym człowieka i jego epoki.

Lata 1789—1815 są to czasy, gdy artyści zmuszeni byli wykuwać rzeźby obstalunkowe, ani mogli ani chcieli rozwinąć własnej indywidualnośc i twórczości istotnej. Owe obstalunkowe fabrykaty „Wierności ojczyźnie", „Oświaty publicznej", „Spartańskich dziewcząt"—nie mają nic wspólnego z ideałem prawdziwego piękna. I David d'Angers, występujący w 1817 r. ze swym posągiem Koudeusza przeciw bezduszności pseudoklasycyzmu jest reakcją raczej pozorną i zbyt on jeszcze żyje w tradycjach rzeźby akademickiej, by mógł się z nich otrząsnąć. Rude dopiero ze swą potężną, szaloną w okrzyku „Marsyljanką", bas—rélief'em na łuku tryumfalnym „Gwiazdy", który oficjalnie nosi nazwę „Wymarszu", lecz którego bezpośredniość wrażeniowa ludu ochrzciła tym mianem—symbolem walki i wolności, zastygłym w pieśni, — to Rude ze swym pomnikiem Ney'a, grobowcem Cavaignac'a, biustem Monge'a i innych rzeźb ruchu i życia.

Musimy też zaznaczyć postać Giraud, który w owej akademickiej, zmanierowanej epoce wyłania się, duchem pokrewny mistrzom greckim i kompozycji swej w „Grobowcu" dla zmarłej żony potrafi nadać wyraz wielkości i styl szlachetny. Jest on poprzednikiem najświeższego kierunku rzeźby współczesnej nam—neo-klasycyzm. Podobny mu późniejszy nieco Brian, zapoznany za życia, a którego „Merkury", wystawiony w Salonie 1861 r.—jest dziełem klasycznej harmonji i spokoju.

Epoka Ludwika Filipa nie odgrywa również żadnej roli w dziejach rzeźby. Wyrazem jej minoderja, czułostkowość, rzeźby Pradiera, tego epigona libertynizmu XVIII w. z jego Gracjami, Florami etc... Może wyróżnić należałoby jednego Simarta—lecz i ten szybko marnuje swój talent, ulegając gustom współczesnym.

Lecz oto na widownię wstępuje Antoni Ludwik Barye, ten dziwny artysta, co umiłował życie zwierząt, a drogą zmudnych studjów póty się borykał (przez lat 20) z materjałem opornym, aż zdołał opanować go bezwzględnie i rylcem wydobyć nawet różnicę między szorstką szerścią i jedwabistym włosem grzywy lub oddać mieniący się kolor łuski wężowej. Lecz nie w tem istota jego talentu, nie w tem szczyt jego artyzmu. Rzeźbę Barye znaczy mozolna droga studjów, by przez analizę osiągnąć najwyższy stopień syntezy, by przejść od szczegółów do uproszczeń, od zwykłego naturalistycznego podobieństwa do wydobycia wewnętrznej prawdy.

Dla mnie osobiście studjum o Barye—to najpiękniejszy rozdział książki. Obok doskonałego odczucia i zrozumienia, autor, spoglądając przez perspektywę czasu, ma niezwykle spokojną, harmonijną miarę w ocenie, doskonały objektywizm, co, gdy rzecz idzie o współczesnych mu, mimo szczerej woli nie zawsze jest w stanie osiągnąć, bowiem talent artysty ma to do siebie, iż w blizkiem zetknięciu zawsze będzie rzucał urok.

Studjum o Barye to piękny poemat. Weźmy jako przykład takie zdanie:

„Ciężkim krokiem stąpają słonie, lekko biegnie gazella, kurczy się jeleń w skoku. Czasem śmiech zabrzmi, gdy Barye wskrzesi ociężałość niedźwiedzi czy zwinność małp. A częściej przeleci zimny podmuch śmierci (o niezapomniane oczy, konającego jelenia)".

Trzeba mieć istotnie duszę artysty, by artystę w ten sposób odczuć i interpretować.

Barye, jak widzimy, duchem swej twórczości, dążeniem do oddania całości, mając wciąż „całość przed oczyma"—nie należy do rozwijającego się kierunku romantycznego, jest to raczej jeden z nielicznych zwiastunów neo-klasycyzmu.

Autor choć sam nie rzeźbiarz z upodobań jednak swych i poglądów na rzeźbę jest istotnie rzeźbiarzem par excellence. Gdy np. porównywa Dalon z Meunier, to choć ostatniemu przyznaje pierwszeństwo jako piewcy tragizmu pracy fizycznej, niemniej stara się zaznaczyć, że, jeśli idzie o samo radosne ugniatanie gliny i wydobywanie z niej piękna—to rzeźbiarzem prawdziwym był Dalon".

A Juljusz Dalon to artysta stojący dziwnie na uboczu i nie dający się klasyfikować, to człowiek ideałów 48 roku, dla którego robotnik jest bohaterem, a praca—rzeczą wielką i świętą, więc też i sztuka Dalon'a nie jest jak u belgijczyka Meunie'ra tragiczną, lecz ma wiele słońca i radości.

Z kolei mamy przed sobą tytana rzeźby francuskiej Augusta Rodin'a. P. Poznański wyróżnia dwie drogi, któremi szła twórczość artysty. W pierwszej przeważa siła ekspresji, uchwycenie momentów, co w nagiej prawdzie nie obawia się odsłonić bólu, a nawet brzydoty życia. Są to impresjonistyczne wizje o wielkiej sile wyrazu, ruchu i sentymentu. Impresjonistą—romantykiem jest Rodin w „Człowieku o złamanym nosie", w „Janie Chrzcicielu", „Mieszczanach z Calais" i ostatnim z tego szeregu „Myślicielu", że wymienię tylko główniejsze, trudno mi bowiem wyliczać cały ich szereg.

Lecz już w „Wieku żelaznym" od poszukiwań koloru i życia przechodzi Rodin ku poszukiwaniom przedewszystkiem formy. Wydobywa linje coraz to spokojniejsze, aż wreszcie w „Adamie" w „Adamie i Ewie", w postaci Wiktora Hugo w projekcie do pomnika zbliża się coraz bardziej do klasycznego pojmowania. i nie jest już Rodin tylko, — jak mówi autor, „znakomitym francuskim rzeźbiarzem, lecz artystą, który wstępuje w wielki nieprzebrany szereg genjuszów, idący od Asyryjczyków po przez Egipt, Fidjasza, Michała Anioła, genjuszów bardziej krewnych jeden drugiemu, niż każdy z nich swemu czasowi."

Przełomową chwilą dla geniusza Rodin'a staje się pomnik Balzaka, dzieło prawdziwie natchnione.

W świetnej skądinąd charakterystyce Rodin'a miałabym może jeden zarzut do zrobienia. Oto autor, którego sympatje skłaniają się ku klasycyzmowi w rzeźbie, niedocenia może roli Rodin'a jako romantyka.

Naturalnie rzecz to historji odległej, niemniej sądzę, iż mimo cały późniejszy klasycyzm Rodin'a pozostanie on królem rzeźby współczesnej właśnie dla swego romantyzmu, tutaj bowiem był on najwięcej sobą, najbardziej szczerym, był artystą z ducha. To samo powiedziałabym i o talencie Emila Bourdelle'a, tego epigona romantyzmu, twórcy niezrównanego pomnika w Montauban, głów Bethowena, popiersia Mieczysława Goldberga i innych. Zwrot jego w ostatnich pracach ku klasycyzmowi jest według mnie duszy jego obcy, nie odpowiadający duchowej istocie artysty.

Natomiast warto zaznaczyć tu wytrawny pogląd autora na spokojny i ogromnie harmonijny klasycyzm Schnegga, Marque'a Despiau, niemniej krytycyzm w sądzie o Maillol'u, który dążąc do prymitywności w rzeźbie, sięga po natchnienie do Egiptu i Tanagry, zbyt lekceważące bezpośrednie studja z natury, stylizuje raczej niż syntezuje.

Jak widzimy z tego pobieżnego sprawozdania, książka p. Poznańskiego obejmuje rzeźbę aż do czasów ostatnich, oddając ze zrozumieniem prądy bieżące i ubiegłe. A dzieło to ma wartość nietylko że jest jak dotąd jednem kompletnem ujęciem przedmiotu, lecz więcej jeszcze dlatego, iż ujmuje go inteligentnie,

wskazuje umysł bogaty, indywidualny, wysoce kulturalny, a wyobraźnię poetycką i artystyczną.

Książkę ilustrują niezwykle bogato: sto kilka dziesiąt reprodukcji dzieł rzeźbiarskich, prócz tego kilka pięknych fotograwiur, jak: „Wolter" Houdona, „Marsyljanka" Rude'a, „Taniec" Carpeaux i inne.

Wacława Kiślańska.

Nowele węgierskie w tłumaczenia Czesława Łukaszkiewicza. Lwów, 1910 r. Nakład księgarni polskiej B. Połonieckiego.

Istnieje w współczesnej literaturze pewien rodzaj lekkostrawnych utworów — niewymagający zgoła wytężenia władz umysłowych—zastosowania tej lub owej metody myślenia—wreszcie skoncentrowania w jakimś kierunku intelektualnej istoty czytelnika.

Utwory te każdy przeciętny czytak-alfabeta może czytać podczas podróży—w wagonie, w czasie „wybicia się ze snu"—w łóżku. Kompozycjom pisarskim illius generis na chrzcie świętym dano imię — nowel.

W piśmiennictwie współczesnem nowela jest jedną z najłatwiejszych form literackich wypowiadania się autorów — niezależnie od tego czy autor istotnie ma coś do powiedzenia, czy też posiada krótką pamięć w dziedzinie bardzo popularnych sentencji w rodzaju tych, naprzykład, „jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami".

Jednak inter omnes constat, iż w życiu doczesnem każdy z nas ma coś do powiedzenia — język również w pewnych okolicznościach jest do pewnego stopnia — niezależnym, nic więc dziwnego, że ten rodzaj produkcji pisarskich, jako jedna z najłatwiejszych form gadatliwości literackiej, znalazł sobie dzisiaj pokaźną liczbę wielbicieli i wyznawców.

Dobrze się jeszcze dzieje, gdy współczesny nowelista jest choć w jednym calu—artystą i nauczył się przypuśćmy w życiowej wędrówce tylko—kichać, ale głośno i wtedy, gdy czytelnik się tego nie spodziewa. Wrażliwsi wówczas ściskają w objęciach swych — głowy, a odporniejsi życzą noweliście szczerego „na zdrowie" kładąc się sua sponte do snu, który w tym wypadku nie gra roli — symbolu nudy, spowodowanej lekturą nowelistyczną, ale jest raczej ostatnią zwrotką tej piosenki, jaką nowelista przed chwilą śpiewał.

Śmiem powątpiewać w to, żeby w całej współczesnej literaturze węgierskiej nie było lepszych nowel od tych, którym słowa polskiego użyczył p. Czesław Łukaszkiewicz.

Większa część „Nowel węgierskich" jest nad wyraz mdłą, słabą i banalną w sposobie konstrukcji, w pomysłach i w treści.

Wyraźniejsze z nich zarówno w koncepcji i treści myślowej to: „Zmartwychwstanie pana Bertalana" Ferenca Herczey'a — „Mężczyzna" Ferenca Molnar'a „Flet hetery" pani Cecylji Formay—i „Stary cygan" Martona Zöldi'ego.

Pozostałe nowele bądź żywcem skopjowane z życia—bądź w wyobraźni poczęte, tchną odorem mieszczańskim—czuć w nich niedbalstwo pisarskie — brak świeżości inwencyjnej i pogłębienia myślowego.

Posiadając w ojczystem piśmiennictwie nowele Choromańskiego, Kiedrzyńskiego, Perzyńskiego, Niedźwieckiego, Rygiera, Grubińskiego i innych, moglibyśmy się śmiało obejść bez tego cudzoziemskiego importu produkcji literackich, jaki wprowadził do literatury polskiej p. Czesław Łukaszkiewicz.

Zbigniew Brodzki.—Chwile.—Warszawa,—Księgarnia E. Wende i S-ka 1910 r.

Jako wyraz techniki pisarskiej książka p. B. jest wynikiem experymentów literackich, czynionych w celu wyzwolenia współczesnej powieści z opressji elementu epickiego. „Chwile" — pozbawione fabuły, wyraźnej tendencji i tak zwanej myśli przewodniej przedstawiają zręcznie powiązany szereg impressji, odebranych w różnym czasie, przestrzeni i miejscu, które autor przyodział w barwne szaty stylistyczne.

Edycją w świat swego literackiego elaboratu osobistych wrażeń i myśli, autor dał świadectwo, iż odczuwa psyche wielkich miast europejskich, rozumie i ocenia rolę, jaką odgrywa w życiu wrażeniowca taka, naprzykład, Jeanette (przypominająca nieco „Klarę" z Ogrodu udręczeń O. Mirbeau i „Julję"—autora Kalwarji).

Oprócz tego p. Brodzki złożył dowody, tak zwanego poloru literackiego i ogłady towarzyskiej.

„Chwile" pisane są językiem wytwornym, skarży się w nich niejednokrotnie nędza istnienia, tęsknoty zawodzą sentymentalne canzony, schyłkowym dowcipem mienią się filozoficzne sentencje.

Z kart książki psyche autora patrzy na świat oczyma wesołego tancerza życia—sclavi vitae saltantis—przechodzącego koło wszystkich kramików myśli systematyczno-naukowej i socjalno-demokratycznej w pląsach wesołego cake-walka.

Z tą intencją Zarathustra stworzył „dytyramby djonizyjskie" i wskrzesił kult wesołego opoja—baletmistrza Djonyzjusza — z tych samych źródeł pochodzi „Taniec miłości i śmierci" Przybyszewskiego, — „Próchno" — Berenta i „Paradoxy" Oskara Wilde'a.

Antoni Nowacki.

Z TEATRU.

Aglawena i Selizeta. Poemat dramatyczny w 5 aktach Maurycego Maeterlincka. Wieczór jednoaktówek A. Nowaczyńskiego. „Miłosierdzie ludzkie", „Cyrce Mańkowska", „Prawo Mimicry".

„Czyż istotnie samo tylko życie widzialne posiada znaczenie i czyż składamy się tylko z takich wydarzeń, które można wziąć do ręki jak kamyki na gościńcu?". Oto pytanie, które rzucił poeta w rozprawie o „Niewidzialnej dobroci". Odwrócenie się od życia widzialnego było hasłem i podstawą wszystkich jego utworów z pierwszego okresu twórczości, pełnej tajemniczego świata potęg bez nazwy, kurytarzy ciemnych, osłoniętych mrokiem nieprzeniknionej tęsknoty i słodkiej poezji mistycyzmu. „Groziło niebezpieczeństwo — mówi — Monty Jacobs, poeta na wieki zaplącze się w misterjach tego kraju, oślepłym wzrokiem nie znajdzie już drogi powrotnej, nie wróci na światło dzienne". Wrócił jednak do krainy życia naszego, jako głęboki myśliciel, bez rozgoryczenia za długie lata marzeń, lecz „jako cichy wędrowiec, który w tajnych głębinach odsłoniwszy mnóstwo zagadek", z łagodnem pobłażaniem spogląda w „gwar bytu". I właśnie taki powrót do życia zapoczątkowany jest w Aglawenie i Selizecie, dramacie dusz ludzkich, w których Maeterlinck przy najprostrzych środkach techniki scenicznej — porusza najgłębiej wtajone właściwości kochania. Lecz utwór pełen filozoficznej konwersacji nie jest zdolny przykuć uwagi i dreszczem rozkoszy artystycznej obdarzyć słuchaczów, gubiących prędko swoją należną uwagę w fali słów, które poza parawanem mądrości, kryją jakąś dziwną, posępną nutę tych samych melodji. Nie wiem czy godzi się wspominać czem jest *forma* w sztuce, czyli realny kształt tych idei, które drogą konieczności twórczej stapiają się w dzieło sztuki. Gdyby Ibsen nie miał spiżowej formy do swoich dramatów — może pozostałby aptekarzem w Skien lub w najlepszym razie był zdolnym publicystą — lecz napewno jego filozofja nie dała by mu wieczności w literaturze!

Otrzymał ją—wydarwszy przyrodzie tajemnice stwarzania ludzi istotnych. Nigdy może indyfikacja filozofji ze sztuką nie nabrała tak cudownie wyrazistego zdecydowania jak u Ibsena.

Maeterlinck mistyk i filozof, sięgający do skrytych tajni duchowych, stwarza sytuacje *nawet* w Aglawenie i Selizecie dalekie od życia widzialnego. To co niegdyś powiedział Wiktor Hugo „nic bardziej interesującego nad mur, za którym coś się dzieje"—znalazło odpowiedź w Aglawenie i Selizecie: „nic piękniejszego nad klucz nawet gdy nie wiemy co otwiera". — W mgławicy przeduchowienia Maeterlinck stwarza te aforyzmy, które tracą swe barwy przy świetle prawdziwego słońca — i są w sferze życia widzialnego czemś w rodzaju „świętości rodzinnej, która dla obcych rodzin niema znaczenia — świętości jednego człowieka, który odleciał jak ptak od *rzeczywistości* —i ukryty w świecie swego wyrozumowania, nie może cię dziwić, że po spalonych mostach nikt wędrować nie potrafi!

W jego twórczości niema ludzi z krwi i kości — obdarzonych ludzkiemi namiętnościami — lecz są jedynie środki do wytwarzania nastrojów, które same w sobie są dla niego celem sztuki. I dlatego widocznem jest, że Maeterlinck nie tylko, że się nie liczy z rzeczywistością, ale nawet, ze *świadomością życia...* Jest poza życiem widzialnem i nie może być podziwiany w tym stopniu, w jakim może podziwiałoby jego poezję, gdyby nie fatalność, która każe pamiętać, że wszyscy choć nie jednakowi jesteśmy jednak ludźmi i wszystko cokolwiek powiemy lub napiszemy, może być tylko ludzkie.

Przeduchowienie Maeterlincka wobec przedziwnych księg przyrody życia widzialnego — często jest zaledwie głębokim rozumem. — Wielkiego natchnienia i twórczego dreszczu, pożaru namiętności — i orlich skrzydeł genjalności ludzkiej, — ja przynajmniej w Aglawenie i Selizecie nie widzę. I zdaje się że tak jest i z temi, którzy komplimenty Maeterlincowi powiedzieć nie potrzebują, a p. Gorczyńskiemu — nie chcą!

Natomiast p. Zalewski sięgnął do antykwarni i wyjął stamtąd niesłusznie zapomniane niemal utwory Adolfa Nowaczyńskiego z czasów jego branzesowego sowiżdżalstwa! Dzisiaj wyglądają one jak wiecznie żywe kwiaty na grobie bezpośredniej twórczości. Świat bezgranicznego pesymizmu młodości, kiedy to zbyt wyraźnie widzi się i czuje kanalję ludzką, kiedy to rozkosze doczesne zbyt są anemiczne, aby ukoić gorycz i nienawiść do pospolitej podłoty ludzkiej. Dziś nasze życie doszło do takiego bankructwa, że optymistami są tylko ludzie starzy.

Patrząc przed siebie radością tępoty i nieświadomości — radują się z tego, co nie jest w możności zapłodnić tych mózgów strupieszałych męką boleści — a co w młodej duszy człowieka pełnego wrażliwości, zapala zarzewie buntu, dławionego zmorą pospolitego życia! Był czas, kiedy Nowaczyński był naprawdę młody i stał na czele poskramiaczów tej stugłowej hydry, która na sztandarze z łachmanów mieszczańskiego patrjotyzmu wypisała hasła zagłady niezależności i wolności sumienia!.. Widać tu cudny, młody talent, nieposkromiony, żywy, buńczuczny— przelewający się w przedziwnej siły falach dramatycznego życia na scenie!

Doprawdy jeden to z najlepszych pomysłów dyr. Zaleskiego, że wystawił na swojej scenie doskonałe utwory Nowaczyńskiego — i jeszcze jeden sukces artystyczny świetnego artysty p. Orlińskiego, którego nie raz widziałem w dobrych rolach, lecz który pierwszy raz pozwolił mi podzielać entuzjazm wywołany niepospolitą grą starego Kuntza w „Miłosierdziu ludzkim" i Kaliksta w „Prawie Mimicry". To nie była tylko gra wirtuozowska — lecz istotne życie pełne właściwych nastrojów —życie tak wyraźne, że dławiło za gardło swojem nieszczęściem. Doprawdy, tylko w tonie najwyższej pochwały, można omawiać te duże naprawdę niepospolite kreacje. Z innych wykonawców wyróżniały się pp.: Staszkowska i Mery Mrozińska—która jako Cyrce Mańkowska — dowiodła, że to, co przedtem mówiono o jej talencie, nie było pozbawione słuszności. W następnych rolach, może mniej jednostronnych, młoda artystka okaże więcej uczuciowości. Mańkowską jednak zagrała bardzo dobrze.

Doskonałym Milczkiem był p. Neubelt.

St. Kiedrzyński.

Redaktor i wydawca **Czesław Kryński.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.